

Marek Zybura (<https://orcid.org/0000-0001-8762-1202>)

Uniwersytet Wrocławski

## „Patagończyk w Berlinie”. O kolejach niemieckiej recepcji twórczości Witolda Gombrowicza<sup>1</sup>

Witold Gombrowicz był największym odkryciem literackim „polskiej fali” lat sześćdziesiątych w Niemczech Zachodnich, zaś edycja jego utworów w oficynie Verlag Günther Neske pierwszym zbiorowym wydaniem dzieł polskiego pisarza po 1945 r. Notabene, ukazało się ono jeszcze przed polskimi *Dzielaми zebranymi* Gombrowicza w paryskim Instytucie Literackim (1969–1977). Przede wszystkim jednak wyjątkowość tej recepcji w ówczesnych okolicznościach zasadzała się na fakcie, że, równocześnie z odkrywaniem tam wtedy Witkacym i Bruno Schulzem, Gombrowicz decydująco wpłynął na niemieckie postrzeganie literatury polskiej w ogóle – w Niemczech i na świecie. „Było nas trzech”, wspominał później pisarz, „trzech muszkieterów polskiej awangardy z okresu międzywojennego”<sup>2</sup>. Ich twórczość, na poczesnym miejscu utwory autora *Ferdydurke*, była znakiem jakościowym literatury z Polski. Ważne to było zwłaszcza w Niemczech, gdzie po 12-leciu Tysiącletniej Rzeszy i następującej potem pierwszej dekadzie zimnej wojny stępieła u Niemców nigdy tam wcześniej zbyt przesadna wrażliwość na kulturę polską, ba, w dużej mierze zanikła świadomość, że Polacy takową w ogóle posiadają. Furora, jaką wówczas zrobiła antologia XX-wiecznej poezji polskiej Karla Dedeciusa *Lektion der Stille* (1959), zasadzała się na naiwnym, budzącym u nas do dzisiaj mieszane uczucia radosnym zdziwieniu, „że w Polsce istnieje intensywne życie literackie, jak najbardziej zachodnie i indywidualistyczne w swoich preferencjach. Wiele [z tych wierszy] ukazać mogłoby się równie dobrze w niemieckim czasopiśmie „Akzente” czy w jakimś francuskim periodyku literackim”<sup>3</sup>. Początkujący wówczas i znany później pisarz, Peter Härtling, zgadzał się łaskawie, że autorzy tej antologii

<sup>1</sup> Tekst niniejszy jest rozwinięciem mojego artykułu „Dudeczku mój drogi... Droga Alice...” *O pewnej amitié amoureuse à trois w dziejach niemieckiej recepcji twórczości Witolda Gombrowicza* („Teksty Drugie” 4/2014) oraz wstępu do wydanej przeze mnie w Niemczech antologii krytyki gombrowiczowskiej *Ein Patagonier in Berlin* (Dresden 2018) i stanowi część przygotowywanej przeze mnie książki o niemieckiej recepcji twórczości pisarza.

<sup>2</sup> W. Gombrowicz, *Wir waren unser drei*, [w:] *Der Fall Witkiewicz*, München 1966, s. 23. Publikacja ta była okolicznościową broszurą promocyjną z okazji niemieckiego wydania *Nienasyćenia* Witkacego w Piper Verlag, zawierającą poświęcone mu teksty H. Kunstmanna, Cz. Miłosza i A. Stawara oraz cytowane tu posłowie pisarza. Nie odnotowuje go XIV tom *Dziela Gombrowicza*, gromadzący jego „Publicystykę, wywiady, teksty różne z lat 1963–1969”.

<sup>3</sup> H. Franke, *Lektion der Stille. Neue polnische Lyrik*, „Neckar-Echo” (Heilbronn), 23.03.1959.

„są częścią Europy”<sup>4</sup>. Ważny powojenny publicysta i redaktor czasopism Hellmuth Jaesrich, w latach sześćdziesiątych publikujący Gombrowicza w założonym przez Melvina Laskyego czasopiśmie „Der Monat”, jednym z najlepszych w powojennych Niemczech, wspominał tamte czasy: „W Niemczech wiedziano bardzo niewiele o życiu artystycznym i literackim w Polsce”<sup>5</sup>. Teraz miało się to zmienić, głównie za przyczyną Gombrowicza, którego przedwczesna śmierć w lipcu 1969 r. pozbawiła pewnej już właściwie Nagrody Nobla w tym roku.

Heinrich Kunstmann (1923–2009), polonista i tłumacz (dramat, słuchowisko), obok Karla Dedeciusa (poezja) i Klausa Staemmlera (proza), trzeci w słynnej trójcy wielkich niemieckich tłumaczy i propagatorów literatury polskiej w II połowie XX w., przekonany był nawet o szczególnej, przewodniej roli niemieckiej recepcji dla światowego sukcesu pisarza, jako „autora szeroko znanego i cenionego”. Niezmiennie podkreślał, że „w procesie popularyzacji jego twórczości małe wydawnictwo Günthera Neskego nie tylko, że nie pozostawało w tyle za innymi, ale wyznaczało tegoż procesowi rytm”<sup>6</sup>. W liście do zaprzyjaźnionego ze sobą Rudolfa Richtera, który pod pseudonimem Walter Tiel przełożył wszystkie wydane u Neskego utwory pisarza, Kunstmann (który sam przełożył *Iwonę*) pisał, mając na myśli jego translatorskie dokonania: „Przecież, obiektywnie rzecz biorąc, sprawy mają się tak, że europejska, a po niej i światowa sława W.G., opiera się na Panu” (16.09.1969)<sup>7</sup>. Oczywiście, Kunstmann przesadzał, schlebając przyjacielowi, ale z drugiej strony faktem jest, że – zwłaszcza w początkowym okresie światowej recepcji pisarza – tłumaczono go tu i ówdzie (np. w Holandii czy w Skandynawii) *via* Walter Tiel, a więc na podstawie edycji Neskego. Mieszkańcy po wojnie w Monachium polski pisarz emigracyjny Tadeusz Nowakowski komentował: „*Via triumphalis* Gombrowicza prowadziła wprawdzie przez Paryż, ale nie po raz pierwszy w dziejach kultury europejskiej Niemcy okazali się tu przyjaciółmi i sojusznikami Polaków”<sup>8</sup>.

Rolf Fieguth, polonista i tłumacz, trafił w sedno konstatując na początku XXI w.: „Książki Gombrowicza pojawiły się w Niemczech wcześniej. Wcześniej aniżeli gdzie indziej Neske opublikował tu *wszystkie* jego dzieła, a już dwie dekady później twórczość pisarza udostępniona została czytelnikom z bezprzykładną dbałością o kompletność w nowych komentowanych przekładach, w niemal krytycznych wydaniach u Hansera. Gdzie jeszcze na świecie, poza Polską, udało się coś takiego?”<sup>9</sup>.

No cóż, nigdzie się to więcej nie udało, nawet i w Polsce nie, gdzie czytelnik dysponuje tylko jedną edycją *Dzieł* (15 t., Kraków 1986–1997). Termin ukończenia ukazującego się od 2002 r. pod patronatem Ministra Kultury i Dziedzictwa

<sup>4</sup> P. Härtling, *Lektion der Stille. Neue polnische Lyrik*, „Deutsche Zeitung”, 1.04.1959.

<sup>5</sup> R. Gombrowicz, *Gombrowicz w Europie. Świadectwa i dokumenty 1963–1969*. Przeł. O. Heidemann, Kraków 1993, s. 196.

<sup>6</sup> H. Kunstmann, *Die Rückkehr des Witold Gombrowicz nach Europa. Aus den Anfängen seiner deutschen Rezeption*, [w:] *Gombrowicz in Europa*, s. 81.

<sup>7</sup> Wszystkie cytowane tu listy pochodzą, jeśli nie zaznaczono inaczej, z archiwum autora tekstu.

<sup>8</sup> T. Nowakowski, *Aimez-vous Gombrowicz?*, „Frankfurter Allgemeine Zeitung”, 06.05.1978.

<sup>9</sup> R. Fieguth, *Gombrowicz mit deutscher Presse. Zweiter Versuch*, [w:] *Gombrowicz in Europa*, s. 117.

Narodowego krytycznego wydania *Pism zebranych*, planowanego na dziesięć lat, wciąż jest jeszcze niewiadomy... Natomiast czytelnicy w krajach niemieckich mają do wyboru edycje Neskego, wspomnianą tu u Hansera<sup>10</sup>, kolejną u Fischera (brozurowa reedycja wydania hanserowskiego w kasecie z 1998 r.)... oraz zupełnie nowe wydanie, ukazujące się od 2022 r. w zuryskim wydawnictwie Kampa Verlag.

O zasługach François Bondy’ego i Konstantego Jeleńskiego dla Gombrowicza w jego „walce o sławę” wiadomo u nas od dawna. Na obrzeżach gombrowicologii (nie wspominając już o „zwykłych” entuzjastach Gombrowicza) funkcjonują jednak do dzisiaj dwie postacie, które miały decydujący udział w początkach niemieckiej fazy tej „walki”: Alicja de Barcza (1909–1973) oraz Rudolf Richter (1894–1974).

Alicja de Barcza, przez przyjaciół nazywana Litką, *primo voto* Romaszkan, *secundo voto* de Barcza, wywodząca się z niemieckojęzycznej, ewangelickiej rodziny kupieckiej, była niejako zwornikiem między pisarzem i tłumaczem. Gombrowicza знаła jeszcze z przedwojennej Warszawy przełomu lat dwudziestych i trzydziestych, gdzie urodą i inteligencją brylowała w salonach literacko-artystycznej bohemy. Rudolfa Richtera, potomka niemieckiej rodziny łódzkich przemysłowców tekstylnych, poznała tam jeszcze wcześniej. Początkujący pisarz i jego przyszły tłumacz nigdy się w Polsce nie zetknęli, chociaż mieszkali tu obaj przed wojną. Do pierwszego i ostatniego między nimi spotkania miało dojść na dwa lata przed śmiercią Gombrowicza we Francji. Los chciał, że Richter, de Barcza i Gombrowicz nigdy nie spotkali się we troje, chociaż trójkę tę łączyły (może właśnie dlatego) inne jeszcze relacje, aniżeli tylko literackie.

W *Dzienniku 1961* pisarz tak wspominał o znaczeniu Richtera i de Barczy dla siebie: „Czasem naokoło siebie widzę tylko las wrogów. A czasem, gdzie okiem rzucę, ukazuje się dobroczyńca. Litce, na przykład, zawdzięczam Waltera Tiela. A Tielowi zawdzięczam przekład *Ferdydurki* z polskiego na niemiecki, powitany chórem pochwał w prasie niemieckiej – i zawdzięczam mu wysiłek tak gorący, bezinteresowny, skrupulatny, że w tej chwili już prawie wszystkie moje utwory są, przed terminem, przyswojone niemczyźnie i gotowe do wydania. Jak się odwdzięczyłem Litce, że mi ten skarb wynalazła, że odważyła się mnie go narzucić?”<sup>11</sup>. Jak do tego doszło? Decydująca była znajomość de Barczy z Richterem, której kulisy opisał on po śmierci Gombrowicza w liście do Heinricha Kunstmanna:

Z Litką zaprzyjaźniłem się w taki oto sposób: jej ojciec, Otto Liphardt, był w Warszawie przedstawicielem na Polskę firmy D. M. C. (Dollfus, Mieg & Co., Mulhouse – nici do haftów i koronek, etc.), podczas I wojny światowej także współpracownikiem szwajcarskiego konsulatu tamże. Jego żona, z domu Vitali, była z kolei spokrewniona z Wedłami (fabryka czekolady), w których domu rodzinnym przy ul. Szpitalnej 8 w Warszawie mieszkali. I to właśnie przez Wedłów poznaliśmy się z Liphardtami, u których my znów często pomieszkiwaliśmy, będąc w Warszawie. Po I wojnie światowej z kolei pani Liphardt przyjeżdżała z swoimi obydwoma córkami Litką i Marylą

<sup>10</sup> Pisałem o niej badając jako pierwszy w Polsce: *Gombrowicz po niemiecku*, „Odra” 1984, s. 107–109.

<sup>11</sup> W. Gombrowicz, *Dziennik 1953–1969*, Kraków 2013, s. 665.

do nas na wakacje, do naszego majątku w Glinniku (przy linii kolejowej Warszawa-Łowicz-Łódź-Kalisz, pomiędzy stacjami Stryków-Zgierz). Litka miała wtedy około dziesięciu, dwunastu lat, a Maryla była jeszcze młodsza. Litka durzyła się wtedy we mnie [...]. Przyjeżdżając do Warszawy, odwiedzałem zawsze Liphardtów, nocując niekiedy w ich pokoju gościnnym. Przy stole nawiązywała się między Litką a mną za każdym razem ożywiona, wesoła rozmowa, przy której dowodziliśmy niezłe, żartując z najrozmaitszych rzeczy, choćby z wymowy „f” w polszczyźnie. Parodiowałem wymowę tego właściwie bezdźwięcznego „f” w wymyślonym zdaniu: „umarł zjadłszy jabłko”, i zwiłaliśmy się ze śmiechu. A wprost ryczeliśmy po homerycku, kiedy np. pan Liphardt, chcąc zrobić komplement jakiejś damie, która zeszcupiała, mówił w swojej nieporadnej polszczyźnie: „Ale pani ciuciuplala!”... Litka jako podłotek miała do mnie bardzo łobuzerski stosunek, dzielając moje poczucie komizmu i sarkazm. I stąd też mieliśmy dla siebie tyle sympatii. [...] Potem, w czasie II wojny światowej (wyszła w międzyczasie za mąż za niejakiego Romaszkana, wybudowała nad Prutem wspaniały dom, który nazywała „Strasznym Dworem” i który podczas wojny diabli wzięli, jej mąż oslepl, opiekowała się nim, ale zmarł) uciekła na Węgry, gdzie poznała cukrowego magnata Charlesa de Barczę w Czerwonym Krzyżu. Poślubiła go, wyjechali do Positano, potem do USA, gdzie jej mąż został doradcą w jakiejś firmie. Ona sama została nauczycielką niemieckiego i francuskiego w college’u w Oshkosh (Wisc.), czym się jeszcze i teraz, po śmierci drugiego męża, wciąż zajmuje. [...] Jeszcze przed II wojną Litka poznała w Warszawie Gombrowicza (zapewne też i jego adeptów, w każdym razie także Witkacego oraz wielu literatów i artystów), no i stąd to przyszło jej potem w USA do głowy, aby mnie zapytać: „czy nie chciałbyś przetłumaczyć taką wściekle warjacką książkę, bardzo zabawną?” – miała na myśli FERDYDURKE, – i tak to się stało!...<sup>12</sup>.

To barwne świadectwo zarówno na temat samej Alicji de Barczy<sup>13</sup> jak i okoliczności, dla których Richter został tłumaczem Gombrowicza, wymaga w odniesieniu do niej paru uzupełnień i uściśleń. Dorastała i kształciła się w Polsce, Szwajcarii, Niemczech i w Anglii, jako projektantka ubiorów pracowała w Paryżu. Mając w sobie krew wielu nacji („12,5% Polish with the rest a mixture of East Prussian [to stamtąd pochodził ojciec], Russian, Italian and Lithuanian”, czytamy na okładce jednej z jej amerykańskich książek), została Polką z namiętnego wyboru: „I’m not a Pole by blood but by sheer frantic habit. Once you start being a Pole, it’s terribly hard to stop. Try it: hopeless struggle”, deklarowała wobec amerykańskich czytelników<sup>14</sup>. Za Romaszkana wyszła w 1931 r., osiadając w Polsce. Mąż zmarł na Węgrzech, dokąd uciekli we wrześniu 1939 r. Charlesa de Barczę poślubiła w 1944 r. Do Włoch (Positano) uciekli z Węgier wiosną 1945 r. Impulsu do dalszej emigracji za ocean dostarczył amerykański sukces jej opublikowanej najpierw w 1948 r. po francusku i pod pseudonimem Alexandra Orme książki *Soldats russes d’après nature, histoire vraie d’un village occupé*, w której przetworzyła literacko swoje przeżycia z zajęcia

<sup>12</sup> List do H. Kunstmanna (po niemiecku) z 26 lutego 1970 r. Pytanie Litki Richter przytacza po polsku.

<sup>13</sup> Bezdyskusyjnie wiadoma jest teraz poprawna forma zapisu jej rodowego nazwiska, rozmaicie dotąd podawanego, nawet jako Lipchard [sic!] w J. Siedleckiej *Jaśniepaniecu*, Kraków 1987, s. 185.

<sup>14</sup> Tekst za okładką jej książki *Comes the Comrade!*, New York 1950.

Węgier przez Rosjan i okupacji tego kraju. Wydana w 1949 r. w Nowym Jorku pt. *Comes the Comrade!*, została w rodzącej się atmosferze zimnej wojny bestsellerem i dała początek amerykańskiej karierze literackiej autorki, publikującej odtąd już stale jako Alexandra Orme. Nowa sytuacja pozwoliła jej wrócić do towarzyskiego stylu życia sprzed wojny w środowisku emigracji polskiej i środkowo-europejskiej, po części nawet wśród tych samych przyjaciół i znajomych, których wojna wyrzuciła na amerykański brzeg. Po śmierci męża, rozczarowana Ameryką, trawiona tęsknotą za krajem, wróciła jesienią 1973 r. do Polski, do rodzinnej Warszawy, gdzie zamieszkała przy Smolnej 10/2. Zmarła jeszcze w tym samym roku.

Korzystając z możliwości swojego materialnego statusu w USA oraz stosunków towarzyskich, Litka de Barcza zaangażowała się w wieloraką pomoc dla klepiącego w Argentynie biedę Gombrowicza, służąc mu pieniędzmi, kontaktami i informacjami. Pisarz pomoc przyjmował („Właściwie powinienem był odesłać Ci te dolary krwawo zapracowane, ale, moja droga, wobec dolarów jestem zupełnie bezsilny – *c'est plus fort que moi* – nie uwierzysz, co się dzieje ze mną na ten widok. Uśmieiałem się, czytając smakowite zresztą menu, jakie sporządziłaś, bo ja tu za to mogę zjeść 20 obiadów, pójść 60 razy do kina lub opłacić miesięczne komorne” – list z 27. II.1956), a nawet podpowiadał środowiskową strategię tej pomocy i jej taktyczne rozwiązania. Np. w liście z 17 marca 1965 r. pisał do niej:

Poza tym bym Cię prosił o taką rzecz: moje opowiadania z tomu *Bakakaj* zostały przetłumaczone na francuski. Chciałbym je puścić w Stanach, w tamtejszych revues, żeby trochę grosza złapać, ale nie wiem, gdzie i jak. Ty kiedyś mnie wspominałaś, że masz zdolną agentkę na Stany. Czy ona by się nadała? Czy nie za bardzo zdziera? Adres? A może Ty byś mnie podsunęła, komu to posłać. Te nowelki są wcale niczego<sup>15</sup>.

Największą bez wątpienia zasługą Litki dla światowej promocji i recepcji pisarza było znalezienie mu tłumacza na język niemiecki w osobie Rudolfa Richtera. Do śmierci Gombrowicza przełożył wszystkie wydane po polsku jego książki. Były to przekłady powszechnie chwalone przez krytykę (co nie zawsze było udziałem tłumaczeń utworów Gombrowicza na inne języki!), z czego pisarz czerpał ogromną satysfakcję. Jak się za to Litce odwdzieczył? Po gombrowiczowsku: „Co do wdzięczności... nie lubię tego uczucia [...] Napisałem: „Nie przeczę, utrafiłaś, ale co prawda człowiek strzela, Pan Bóg kule nosi”<sup>16</sup>.

Jeszcze mniej od Alicji de Barcza znana jest środowisku gombrowicologów osoba tłumacza Rudolfa Richtera, czyli Waltera Tiela, jak podpisywał swoje przekłady. Do niedawna zresztą nawet jego prawdziwe nazwisko nie było szerzej znane. Sam pisarz zaintrygowany osobliwą miejscami polszczyzną swego tłumacza (wielojęzycznego podobnie jak de Barcza), zdradzającą wszakże, iż nie była ona dla niego wyuczonym językiem obcym, zapytywał go w liście z 9 marca 1960 r.: „Czy Pan jest

<sup>15</sup> *Listy Witolda Gombrowicza do Alicji De Barcza 1955–1966*. Opracował i do druku podał M. Zybura, „Odra” 2013, z. 2, s. 47.

<sup>16</sup> W. Gombrowicz, *Dziennik 1953–1969*, Kraków 2013, s. 665.

Polak, czy Niemiec? Skąd pańskie związki z Polską? Proszę trochę napisać o sobie.”  
Richter udzielił mu wyjątkowo wyczerpującej odpowiedzi:

Co do mojej osoby: dziadek mój przywędrował w r. 1840 z Czech do Łodzi jako tkacz, korzystając z ułatwień rządu rosyjskiego (tereny, budulec etc.) założył fabrykę w r. 1841. (firma „Józef R.”). Ojciec mój był więc wtedy jeszcze „sujet autrichien”, później „sujet russe” – a jeszcze później – po pierwszej wojnie światowej – dostał przynależność polską. Ja, urodzony w r. 1894, byłem więc wtedy „sujet russe”. Niankę miałem polską (Antosię), do lat pięciu mówiłem tylko po polsku, z matką również jak z liczną służbą, potem również po niemiecku, gdy zacząłem chodzić do szkoły prywatnej, później rok do rosyjskiego gimnazjum. Podczas rozruchów w r. 1904, wyjechaliśmy z całą rodziną do Drezna, gdzie potem zostałem sam (w pensjonatach) i chodziłem do gimnazjum aż do matury (Wielkanoc 1914 r.). Matka była b. czytana i zainteresowana sztuką i muzyką. Mieszkali u nas często muzycy, jak Bronisław Huberman, Zadora, Egon Petri, Rita Sachetto, gdy przyjeżdżali na koncerty do Łodzi, a co czwartek grały koncerty u nas, przychodził czytać Jaracz (wtedy znany aktor polski), a siostra (starsza ode mnie) miała za wychowawców (uczyła się w domu) n.p. Ludwika Klagesa (później znany grafolog, właściwie „ojciec” grafologii), Fryderyka Hucha (kuzyn Ricardy Huch, również autor), z którym mając lat 15 byłem we Florencji, dokąd potem jeszcze częściej jechałem i z którym byłem b. zaprzyjaźniony aż do jego śmierci (1912). Podczas I wojny byłem 3 lata w Zurychu (stud. psychologii, potem architektury), a 1 rok w Laussane (hautes études commerciales), zaraz po wojnie wróciłem do Łodzi, wyjechałem jednak na rok do Berlina. Po powrocie zacząłem zajmować się sprawami w fabryce (ojciec nią kierował) i po 3-4 latach, po śmierci ojca, przejąłem dyrekcję aż do roku 1930-go. Byłem potem 3 lata we Francji, Paryż, potem koło Aix-en-Provence, w roku 1936 kupiłem „resztówkę” pod Kołem (majątek ten należał do dyr. Ostroroga-Sadowskiego, który go przejechał i rozparcelował), b. zamiłowany byłem rolnictwem (ojciec w r. 1900 kupił mająteczek na letnisko za Zgierzem. „Dwór” był tam jeszcze modrzewiowy!, nad wielkim stawem spalony młyn wodny, i wszystko zostało utrzymane w stanie możliwie dawnym, tak że było tam cudownie). Przyszła nowa wojna, zrobili ze mnie „volksdeutschera”, w styczniu 1945 r. zaciągnęli mnie cholery jeszcze do wojska, ale ukrywając moją polyglotność i udając zwyczajnego chłopca, [trafiłem] jako stangret do fabryki amunicji, gdzie było dużo jeńców rosyjskich i włoskich, z którymi ku ich radości często rozmawiałem, pocieszając ich i sam się ciesząc, że to im taka pociecha („sentì, questo signore parla italiano!”), krzyczeli). – No, niedługo wszystko poszło do diabła, w maju lelu po lelu, to pieszo, to pociągami przedostałem się z powrotem „do domu”, do Koła (jako polski robotnik przez Niemców przymusowo zawleczony do Niemiec i powracający teraz do ojczyzny). Zajrzałem najprzód do naszego lekarza, Leona Zuchowicza w Kole, który mi powiedział, że żona moja z dziećmi już wyjechała, nie wiadomo dokąd, więc szukałem ich w Łodzi daremnie, potem w Bielsku-Białej u rodziców mojej żony – też daremnie – więc wyjechałem do Berlina i 14 lipca 1945 r. znalazłem ich wszystkich pod Schwerinem u teściów mego siostrzeńca, jak również moją siostrę. No, to wszystko tylko w krótkich słowach, bo te pielgrzymki były b. skomplikowane i pełne rozmaitych awantur. Dobrze tylko, że człowiek nie wie, co wszystko jego czeka, bo wtedy nie miałby sił ani odwagi na takie przeżycia, a dopiero „po krzyku” się dziwi, że takie rzeczy były możliwe i do wytrzymania. W każdym razie to w zupełności wystarczyło i historii Hioba to komedyjka wobec tego. Nigdy o tym wszystkim nie myślę, bo na co? Lepiej patrzeć przed siebie, a nie za sobą. Właściwie jestem w takim

samym położeniu jak Pan. A co do narodowości, to nigdy za prawdziwego „Niemca” się nie uważałem, ani też za Polaka, ani w ogóle za co, tylko za człowieka, chociaż bardzo a bardzo w Dreźnie tęskniłem aż rozbeczony za krajem, bo go kochałem – tę wieś, tych chłopów, całą tę atmosferę właściwie dla mnie „rodzinną” i jeszcze teraz nie czuję się tutaj w Niemczech „jak w domu”, a raczej jako obcy – *très en distance avec tout et tous*. – Żona moja z domu Holeksa, jej matka z domu Janota, której ojciec był kowalem w Białej – Bielsko z kawałkiem roli przy kuźni, i żona naturalnie również mówi po polsku (wychowana w szkole Elżbietanek w Bielsku)<sup>17</sup>.

Powracając pod koniec 1960 r. w korespondencji z Kunstmannem do kwestii swojej tożsamości, tak ją doprecyzował: „W istocie sam nie wiem, kim właściwie jestem – Polakiem, Niemcem czy Francuzem? Po sercu z pewnością Polakiem, z ducha może raczej Francuzem – a Niemcem? Chyba tylko *par hasard*, bo swego czasu zrobiono ze mnie volksdeutschera, co pozostało jednak najpraktyczniejszym rozwiązaniem. Moi przodkowie pochodzą z Bohemii. *Więc cygan jestem najprawdziwszy! Bohémien!*”<sup>18</sup>.

W listach do Gombrowicza i Kunstmanna Richter wyjawia także powody, dla których zdecydował się publikować tylko pod pseudonimem, nie zdradzając się ze swoją prawdziwą tożsamością nawet w redakcjach czasopism i wydawnictw, z którymi zaczął wtedy współpracować (wydawca Gombrowicza, Günther Neske, był tu wyjątkiem).

Przystępując do współpracy z Gombrowiczem, informował go jeszcze niejasno – ogólnie: „Ze względów rozmaitej natury nie życzę [sobie], ażeby mnie wymieniono jako tłumacza, a jedynie pod pseudonimem, – może „Polonius””<sup>19</sup>. Pół roku później, nabrawszy do pisarza zaufania, odkrył karty: „bo gdybym oficjalnie firmował jako tłumacz, to potracono by mnie to z pieniędzy, które otrzymuję jako emigrant i za stary już do roboty, a to by była b. gorzka sprawa, bo ta „renta” i tak znikomo mała (300. – miesięcznie dla całej naszej rodziny)”<sup>20</sup>.

Mający już 66 lat Richter, który ożenił się dopiero w wieku 45 lat, miał wtedy na utrzymaniu żonę i syna w wieku szkolnym. Perspektywa utraty tego zasiłku, jaki otrzymywał od państwa niemieckiego z tytułu „wypędzenia” i utraty mienia w Polsce, bardzo go niepokoiła. A że taka groźba istniała realnie, świadczy fakt, iż ostrzegli go przed tym sami niemieccy urzędnicy podatkowi, co przyznał w liście do Kunstmanna, tłumacząc mu, podobnie jak Gombrowiczowi, zawilości swojego postępowania w tej mierze (nota bene: w pisanym po niemiecku liście tłumaczył je dla ostrożności po polsku!): „Teraz Panu wyjaśnię dlaczego muszę koniecznie zachować pseudonim. Otóż z rodziną żyję z zapomogi urzędowej (trzysta pięć marek miesięcznie) jako emigrant. Urzędnicy radzili mi przyjaźnie, ażebym w żadnym razie

<sup>17</sup> List niedatowany, pisany – jak daje się to zrekonstruować z rytmu korespondencji Richtera z Gombrowiczem – około 20 marca 1960.

<sup>18</sup> List z 5 grudnia 1960. Wykursywione zdanie napisał Richter w swoim niemieckim liście po polsku.

<sup>19</sup> List z 30 września 1959.

<sup>20</sup> List z 28.4.1960.

oficjalnie nie występował jako tłumacz pod moim własnym nazwiskiem, bo wtedy by mi potrącić musieli daleko przeszło połowę moich „zarobków”, a nawet może i zapomogę zupełnie skreślić. Takie to buty, widzi Pan! Pracowałbym więc wtedy za guzik, – a za to dziękuję!... I tak już te „zarobki” równają się takim, a nawet takich nie dosięgają, za które dziad byle jaki przekopuje ziemię w ogrodzie”<sup>21</sup>. Kunstmannowi wyjawiał też (znów po polsku) techniczną stronę uprawianej z niemieckim fiskusem gry w chowanego: „A pieniądze Neske przekazuje pocztą do mego przyjaciela w Zurychu, którego imię i nazwisko jest identyczne jak mój pseudonim, tylko że nazwisko jego pisze się przez T i potem z literą h. On zaś używa inny pseudonim w jego publikacjach. Dowcipne, co?”<sup>22</sup>.

Obawy przed dekonspiracją tych „dowcipów” oraz ich ewentualnymi konsekwencjami miały towarzyszyć odtąd Richterowi do końca życia, a zaczął niebawem tłumaczyć także innych polskich autorów (m.in. Witkacego, Schulza, Herberta, Lema, Pankowskiego, Bocheńskiego). Pod koniec tej tak dla siebie pracowitej dekady podkreślał: „Przy pseudonimie muszę się jednak upierać. W przeciwnym razie mogłoby mnie to nieźle kosztować (*Urząd Skarbowy!*). Na *gloria mundi* gwizdź”<sup>23</sup>.

Fenomen niezwyklej erupcji translatorskiej aktywności Rudolfa Richtera, zamykającej się właściwie w granicach jednej dekady lat sześćdziesiątych, zasługuje na swojego monografistę. Fenomen to tym bardziej zaskakujący, że debiutujący w wieku 66 lat (!) tłumacz – i to od razu przekładem pisarstwa najwyższej próby – nie miał za sobą żadnego zawodowego doświadczenia w tym względzie. Miał przełożyć wprawdzie wedle własnych słów *Granice* Zofii Nałkowskiej, ale wybuch wojny przekreślił ten projekt wydawniczy i pochłonął sam maszynopis przekładu<sup>24</sup>. Jest to jednak wskazówka pozwalająca translatorskich zainteresowań Richtera doszukiwać się jeszcze w przedwojennym okresie jego życia, kiedy to łączył działalność przedsiębiorcy, a potem ziemianina-rolnika, z pasją do literatury.

Pasję tę zaszczepiła w nim niewątpliwie matka, Paula Richter (1868–1921, z domu Biedermann, córka pioniera rozwoju przemysłu w Łodzi Roberta Biedermanna i siostra znanego łódzkiego przedsiębiorcy Alfreda Biedermanna), o której przedwojenny łódzki dziennikarz niemiecki, Otto Heike, wielokrotnie w swojej autobiografii wspomina, że była w Łodzi szczególnie hojną wspomożycielką artystów, a jej dom ich

<sup>21</sup> List z 21 listopada 1960.

<sup>22</sup> List z 5 grudnia 1960. Richter ma na myśli dziennikarza i tłumacza André Thiel-Zündel’a.

<sup>23</sup> List do Kunstmanna z 29 listopada 1969.

<sup>24</sup> Wspomina o tym w jednym ze swoich pierwszych listów do Günthera Neskego z 14 marca 1959. Sprawa jest jednak niejasna: Zofia Nałkowska zapisuje w swoich *Dziennikach* pod datą 6 września 1936, że „*Granice* już ktoś tłumaczy (też zrujnowany łódzki fabrykant).” Faktycznie, Richter nie miał już wtedy rodzinnej fabryki i zaczynał właśnie swoją przygodę z rolnictwem. Po dwóch latach jednak pisarka notuje 21 grudnia 1939 r.: „Dziś wybuch ciężkich zagadnień wokół niemieckiego przekładu *Granicy*”, co Hanna Kirchner komentuje: „Niemiecki przekład *Granicy* nie został zrealizowany”, [w:] Z. Nałkowska, *Dzienniki IV 1930–1939. Część 2 (1935–1939)*. Opracowanie, wstęp i komentarz H. Kirchner, Czytelnik, Warszawa 1988, s. 136 i 363 n. – Niemiecki przekład *Granicy* został zrealizowany, ale po wojnie: w przekładzie Caesara Rymarowicza jako *Die Schranke* książka ukazała się w 1958 r. w wydawnictwie Volk und Welt w Berlinie Wschodnim.



przystanią<sup>25</sup>. Zachodzi tu ciekawa paralela między Richterem a Gombrowiczem w odniesieniu do wpływu, jaki na duchowy profil i związane z nim zainteresowania tłumacza i pisarza wywarły ich własne matki. „Jestem artystą po matce” stwierdzał Gombrowicz w *Testamencie*<sup>26</sup>, zaś Richter w cytowanej autobiograficznej relacji także wyraźnie eksponuje artystyczne pasje matki, wspominając ojca, Józefa Richtera (1860–1926) mimochodem (tak samo postępuje z ojcem, również przedsiębiorcą, w swoich pismach autobiograficznych Gombrowicz!). Zgodna duchowa ‚chemia’, będąca podstawą łączącej ich więzi, która „polegała w sposób naturalny na naszych tak pokrewnych odczuciach i poglądach”<sup>27</sup> – jak to widział sam Richter – miała swoje źródło we wspomnianym wpływie matek – artystek. Artystyczne koneksje matki Richtera (wspierała finansowo m. in. malarza Otto Pippela czy pisarkę Franziskę Gräfin von Reventlow) tłumaczą także – aby i to przy tej okazji wyjaśnić – fakt, że Richter zamieszkał po II wojnie światowej w kolonii artystycznej w Worpswede, w Haus im Schluh, domu Marty Vogeler. Otóż jego matka utrzymywała kontakty także z tamtejszymi artystami, m.in. z Heinrichem Vogelarem. W 1907 r. kupiła od niego obraz *Frühling*, będący portretem żony z okresu narzeczeńskiego (1897). W 1934 r. Marta Vogeler odkupiła go od Rudolfa Richtera i do dzisiaj obraz ten znajduje się w jej domu, w którym już od lat 20. prowadziła także pensjonat. To w jednym z jego wynajmowanych gościom pokoi zamieszkał z rodziną Richter, podtrzymując dawne kontakty z właścicielką, zmarłą tam w 1961 r.

Gombrowicz cenił Richtera jak rzadko którego ze swoich tłumaczy. Bywało, że rozpoczynał do niego list słowami: „Drogi Mistrzu”. Po śmierci męża Rita Gombrowicz pisała do niego: „Mąż wciąż mi powtarzał, że jest Pan jego najlepszym tłumaczem, który całą jego twórczość przełożył z zapalem i poświęceniem [...] i darzył Pana żywą przyjaźnią”<sup>28</sup>. Za życia ich wzajemne stosunki układały się czasem różnie. Obydwaj byli silnymi osobowościami, przy czym Richter będący na wskroś naturą, by tak rzec: ‚demokratyczną’, z biegiem lat przejawiał coraz mniej tolerancji dla celebrowania przez pisarza ‚genialności mojej”. Poza tym tłumacz generalnie identyfikujący się silnie z Gombrowiczem i jego dziełem, zaczął ulegać tzw. syndromowi ‚księżej gospodyni”<sup>29</sup> i próbował suwerennie, to znaczy bez porozumienia z nim, dysponować przełożonymi przez siebie fragmentami jego utworów wobec rozmaitych redakcji. Zdenerwowany Gombrowicz interweniował wtedy: „Oj! Cieszę się, że Panu się ten fragment [...] spodobał, ale jeszcze raz proszę nic nie robić bez porozumienia się ze mną. Mnie nie dogadza publikacja tego tekstu w Niemczech

<sup>25</sup> O. Heike, *Die deutsche Minderheit in Polen*, Leverkusen 1985, s. 83, 91, 348. Mylnie wywodzi jednak jej pochodzenie z innej rodziny łódzkich Niemców, Kindermannów.

<sup>26</sup> W. Gombrowicz, *Testament. Rozmowy z Dominikiem de Roux*, Kraków 2004, s. 8.

<sup>27</sup> List Richtera do Neskego z 6 sierpnia 1969.

<sup>28</sup> List z 1 sierpnia 1969.

<sup>29</sup> Mjr Stefan Benedykt, szef Wydziału Propagandy, Kultury i Prasy 2 Korpusu gen. Andersa, tak tłumaczył ten syndrom Józefowi Mackiewiczowi w Rzymie w 1945 r.: „Księża gospodyni w pierwszym roku mówi: To wszystko księdza proboszcza. W drugim: nasze. A w trzecim: moje”. Cyt. za: Z. S. Siemaszko, *Józef Mackiewicz. Listy, opracowania, wspomnienia*, Lublin 2009, s. 45.

[...]. Panie Rudolfie, niechże Pan zrozumie, że ja muszę sam decydować, to są sprawy skomplikowane. Jeszcze raz Pana proszę z naciskiem, żeby Pan od siebie ani nie decydował, ani nie informował nikogo. Dyskrecja i wstrzemięźliwość! Bardzo w Panu lubię to istotne zainteresowanie moją literaturą, ale musimy uważać, żeby nie było niepotrzebnych komplikacji”<sup>30</sup>.

Wreszcie, wielki podziw Richtera dla pisarza, nie paraliżował go bynajmniej przed otwartym wyrażaniem swego zdania nawet wtedy, gdy diametralnie różnił się z nim w ocenie jego utworów. *Kosmos* np. uważał za (delikatnie tu jego sąd oddając) pi-sarską pomyłkę Gombrowicza i długo nie chciał tego utworu tłumaczyć, a później w trakcie pracy nad przekładem omal nie zerwał z nim współpracy. W czasie kolejnego niżej we wzajemnych stosunkach (chorujący coraz bardziej pisarz miał być może coraz mniej empatii dla emancypującego się spod jego skrzydeł tłumacza) doszło do wspomnianego na początku jedyne-go między nimi spotkania.

Richter odwiedził Gombrowicza w Vence z synem Dorianem 13 września 1967 r. Swoje wrażenia zrelacjonował w listach do Neskego i Litki. Do wydawcy pisał jeszcze z Francji, wzburzony wizytą, nie czekając z listem na powrót do Niemiec:

Zeszłej środy, 13. IX., byłem więc z synem w Vence u W. G. W Orcel (u kuzynki) czekał na mnie list W. G., w którym mnie prosił, abym go telegraficznie powiadomił, którego dnia i o jakiej porze przyjadę go odwiedzić. Zadepeszowałem: „Arriverons mercredi vers midi.” – Wyruszyliśmy tam najpiękniejszą drogą przez Grasse i dojechaliśmy o wpół do pierwszej po południu.

Na nasz dzwonek W. G. otworzył nam osobiście drzwi do mieszkania na drugim piętrze i poprosił do swego gabinetu: „Whisky czy cognac?” – „Cognac proszę”... Weszła na to jego przyjaciółka, której nas przedstawił... „Bonjour Madame!” – „Mademoiselle”, poprawił mnie W. G. – To Kanadyjka, blondynka, całkiem ładna, z lekkim meszkiem pod nosem, bardzo miła, naturalna, sympatyczna, ale żadna tam olśniewająca „beauté”, około 28, po polsku właściwie nie mówi, tylko po francusku. – Wobec mnie, jak najprawdopodobniej wobec WSZYSTKICH, W. G. przyjął pozę: „arystokratycznego”, sławnego człowieka, nieco „z góry” i trochę ex cathedra. Ja ze swej strony nie przyjąłem tego do wiadomości, zachowując się z całkowitą swobodą tak, jak to czynię wobec każdego. Myślę, że był nieco „zafrapowany” tym, że go nie okadzam, jak tego być może oczekiwał. Zapytał mnie o mój życiorys: gdzie się urodziłem, jak długo w Polsce mieszkałem. Odpowiedziałem (po francusku, jako że była z nami jego przyjaciółka), że nie da się tego ograniczyć jedną datą, bowiem w Polsce ustawicznie b y w a ł e m, także wtedy, kiedy mając 9 lat, uczyłem się w Dreźnie w gimnazjum. – Przerwał mi: „JAK długo był Pan w Polsce?” – „Niechże więc Pan posłucha: chcę to właśnie Panu powiedzieć!” – No i w końcu zrozumiał, że los mnie sprowadzał do Polski okresowo (podczas ferii szkolnych, ale i później), a jego przyjaciółka była zdumiona, jak dobrze mówię po francusku (w każdym razie lepiej od W. G.). Po mniej więcej kwadransie przyjaciółka poprosiła nas do stołu. Vol-au-vent, poularde, sauce champignon, tarte, café... Potem przeszliśmy z powrotem do jego gabinetu, – Cognac, – jego przyjaciółka pojechała z moim synem jego simcą na przejażdżkę do St. Paul-de-Vence, a ja rozmawiałem sam na sam z W. G. o *Operette*. Porównywał moje niemieckie tłumaczenie z francuskim Jeleńskiego stwierdzając, że moje „kuplety” brzmią w nim lepiej aniżeli

<sup>30</sup> List z 5 czerwca 1967.

Jeleńskiego. Ale poprosił mnie, abym porównał jeszcze te obydwie przekłady i ewentualnie wprowadził stosowne modyfikacje.

Sam NIE kierowałem rozmowy na temat „Neske”, pozostawiając to JEMU. Byłem bowiem zdania, że lepiej i słuszniej będzie nie wspominać, że już widzieliśmy się i rozmawialiśmy ze sobą. W.G. mógłby w przeciwnym razie sądzić, że przybywam od Pana i „trzymam Pańską stronę” i jej „bronię”, co od razu wywołałoby w nim wrażenie, że jestem Pańskim „parlamentariuszem” – a to z kolei nastawiłoby go z miejsca negatywnie. – Tak więc po jakimś czasie on sam zeszedł na ten temat i pokazał mi Pański list, który mi Pan przeczytał już w Pfullingen i który zatem już znałem. Udawałem, że nie znam tego listu, odczytałem go i przetłumaczyłem... Na tej podstawie dyskutowaliśmy następnie o jego treści: W. G. powiedział, że za mało reklamy Pan wokół niego robił i że inni wydawcy sprzedali więcej od Pana. Poprosiłem o konkretne dane. Odparł, że we Francji wydanie *Kosmosu* w nakładzie 3.000 egzemplarzy rozsprzedano bardzo szybko i obecnie drukuje się drugie w nakładzie 2.000. W Anglii 2.000-ny nakład także został już wyprzedany. A jeśli chodzi o sztuki teatralne, to w Skandynawii mają się cieszyć takim sukcesem, że tantiemy dla wydawców od wystawień zredukował od dotychczasowych 40% na 10% i będzie się teraz domagał tego samego od wydawnictwa S. Fischer, które kasuje dotąd także 40%, nie robiąc pr a w i e n i c dla popularyzacji sztuk. Jeżeli S. Fischer nie zejdzie do 10%, to *Operetkę* zaproponuje innemu wydawcy. Na marginesie: *Ślub* idzie właśnie w Zurychu... Potem przeszedł do zainspirowanej przez Pana ekranizacji *Pornografii*, mówiąc przy tym rzecz następującą: oczekuje ustalonej z góry większej sumy i nie zadowolony się nieokreślonymi obietnicami. – Powiedziałem na to: „Proponuję Panu przeciwieź konkretną kwotę od kosztów produkcji, mianowicie 10% od jakichś 300 do 400.000 DM, którymi miałyby się Pan podzielić z wydawcą.” – „To mi właśnie jest dla mnie za mało”, rzekł, „chcę pewnej, konkretnej i większej sumy dla siebie, tak jak to jest przyjęte przy wszystkich ekranizacjach, powiedzmy 50, 100 tysięcy...” – Ja na to: „No tak, ale takie stawki dają może wtedy, kiedy autor jest już bardzo znany, jak np. Hemingway, kiedy więc jest pewne, że film przyniesie odpowiednie wpływy, czego w tym przypadku nie można jeszcze zakładać.” – Uśmiechnął się na to pogardliwie i protekcyjnie, upierając się przy swoim zdaniu, aby stwierdzić na koniec: „Nie, na taką propozycję, jaką Pan wymienia, nie pójdę” – to byłoby „gruszki na wierzbie”...

Sam Pan widzi: z tym człowiekiem nie da się rozsądnie porozmawiać – chciałby tylko „dyktować” i wyobraża sobie, że „zaszedł” już tak wysoko, iż może sobie pozwolić na dyktowanie swoich warunków.

W temat sprawy „W.G. – Neske – Piper” wypowiedział się w tym sensie, że Pan robił zbyt mało propagandy wokół niego: że mobilizował Pan krytyków i recenzentów, aby pisali o jego utworach, ale uważał Pan za niestosowne i bezcelowe, ażeby to samo Pańskie wydawnictwo występowało z taką inicjatywą do prasy, bo uważał Pan, że takowa „autoreklama” nie trafia do czytelników. – On jednak uważa, mówił, że powinien był Pan dawać więcej OGŁOSZEŃ do odpowiednich gazet i czasopism. Nadal wielkie nadzieje wiąże z Piperem, który jego zdaniem będzie to robił lepiej i ma po temu większe środki. O tym, w j a k i sposób Pan ugodzi się Piperem, nie mówił; zapytał mnie tylko, czy dalej będę tłumaczył dla niego, na co odpowiedziałem, że to tylko zależeć będzie od niego samego, czy będzie sobie tego życzył, czy nie. Skomplementował mnie w odpowiedzi i prosił bardzo o dalszą współpracę. Wyraźnie oczekiwał, że mu za to podziękuję, ale ja rzekłem tylko: „No więc dobrze, zobaczymy, jak to dalej będzie”.

Na tym „historyczne” rendez-vous zakończyło się – i to z mojej inicjatywy, bowiem powiedziałem: „Czas już, abyśmy się pożegnali, bo chciałbym zdążyć z powrotem do Orceł jeszcze przed wieczorem”. Jego przyjaciółka i mój syn wrócili właśnie z St. Paul-de-Vence; powiedziała do W. G., że bardzo podoba się jej simca mojego syna: „très chic, tout noir, très distingué!” – Wstałem, pożegnałem się, a W. G. rzekł, że ma nadzieję zobaczyć mnie niebawem znów, na co odparłem: „Może, jak przypadek tak zrządzi”. – Odprowadził nas do drzwi domu i o wpół do czwartej odjechaliśmy. Voilà. –

Cóż, wrażenia na mnie absolutnie nie zrobił: oczekiwałem zachowania niewymuszonego, a nie takiego nieco „zmanierowanego”, taniego, na siłę efektownego, trochę „nadętego”, z czego nic sobie nie robiłem, śmiejąc się dużo podczas rozmowy. Przy stole spytał Doriana, czy stoi „z lewa” czy „z prawa” sceny politycznej. Dorian odpowiedział, że to zależy od okoliczności: na przykład podczas demonstracji studenckich przy okazji wizyty szacha Persji był przeciwko policji i po stronie studentów. – „A więc na prawo i konserwatywnie! powiedział W. G. – „Nie”, powiedział Dorian, „na lewo i liberalnie!” – „A więc na prawo!” stwierdził W. G. Ażeby skończyć z tym absurdem, odezwałem się po francusku do Doriana: „Jeżeli Gombrowicz ci mówi, że stoisz z prawa i jesteś konserwatystą, to jest to święte jak amen w pacierzu, rozumiesz?!” – Nie udało się więc W.G. zakończyć tej wymiany słów „elegancką” pointą, tak jak zamierzał, pomimo całej swojej natarczywości. Nie udała się powtórka z *Berliner Notizen*. W. G. wydał mi się śmieszny i zupełnie nie „imponujący”, to był smutny „cyrk”, całe to nasze spotkanie. Podczas powitania zagadnął mnie: „Ależ dobrze Pan wygląda – ile ma Pan lat?” – Mówi nieoczekiwanie drobnym, wysokim głosem i wykrzywia przy tym usteczka, co wygląda żałośnie i sprawia, że on sam jawi się przy tym jeszcze bardziej pokracznie, tak samo jak i ta cała jego arystokratyczna „façon de se donner des airs” – ce qui ne prend pas chez moi, co dobrze zauważył.

Podczas drogi powrotnej Dorian powiedział: „Neske to rzeczywiście osobowość, bardzo interesujący i sympatyczny, a Gombrowicz rozczarowuje i pomimo całego rozgadania nie mówi nic interesującego”. Już po wyjeździe od Pana Dorian powiedział mi, że cieszy się, iż mógł Pana poznać – czego nie powiedział o W. G., który jego zdaniem, produkuje sam siebie tak jak swoje książki... I tu syn ma zapewne rację! [...]

Myślę, że W. G. „zgrywa się”, opowiadając o sukcesach innych wydawców, sądząc nawet, że on w ogóle jest „zgrywusem”, także w swoim zachowaniu, które mi nie imponuje, a jego tylko ośmiesza.

Okropne jest jego mieszkanie w tym szkaradnym domu, jakiejś kombinacji secesji z renesansem, wśród przejętych mebli, bez jakiegokolwiek osobistego „cachet”, zimne, bezduszne, w gruncie rzeczy takie, jak on sam – wszystko „sztuczne”.

Widok na Place du Grand Jardin: podły, publiczny parking dla aut ze wsi, dostawców (żadne tam rolls-royce’y czy jaguary), „Villa” stoi na uboczu, w kącie – parkingowy cieć nawet nie wiedział, gdzie jej szukać. Widziałem po drodze dużo rzeczywiście pięknych miasteczek jak Cornillon, Lançon, Grasse, gdzie można by mieszkać dużo ładniej – ale w VENCE, tam jest się „kimś” wśród innych „koryfeuszów” – tak samo nędznych... Gra się w teatr, a właściwie w szmirę!... Ma auto, citroena 2 cv – jego przyjaciółka chciałaby rovera! Bonne chance! Życzę mu wszystkiego dobrego! [...]<sup>31</sup>.

Tej emocjonalnej, wprost jadowitej relacji nie wolno czytać w oderwaniu od kontekstu niemal dziesięcioletnich już wówczas kontaktów między obydwu protagonistami.

<sup>31</sup> List z 17 września 1967.

Swoich ostrych listów do Neskego na temat pisarza (rzadkich) tłumacz miał później żałować. W istocie zafascynowany był Gombrowiczem i w gruncie rzeczy cierpiał, że pisarz na jego manifestującą się w listach otwartość i żywiołową bezpośredniość reagował z powściągliwością. Na kilka dni przed śmiercią Gombrowicza pisał do Neskego o wstrząsie, jakiego doznał czytając w kolejnym fragmencie *Dziennika* z lipcowo/sierpniowego numeru „Kultury”<sup>32</sup> o fatalnym stanie jego zdrowia i dodawał: „Żał mi go, biedaka, i jakże chętnie napisałbym mu to, ale traktuje mnie przecież z takim dystansem i chłodem, że nie mogę sobie na tę słabość pozwolić. Mam nadzieję, że nie przyjdą kolejne zawały, które by go wpędziły do grobu!”<sup>33</sup>. Stało się inaczej. Znana i przeanalizowana dzisiaj nieumiejętność czy też niemożność wyrażania uczuć przez Gombrowicza<sup>34</sup>, o których uważał, że wystarczy o nich umieć myśleć, a będąca rezultatem swoistego klinczu, w jakim znalazły się w jego psychice potrzeba i trudność bliskiego kontaktu z ludźmi, położyła się cieniem także na jego kontaktach z Richterem – jednym z najbardziej mu oddanych ludzi w ostatniej dekadzie życia. Po śmierci pisarza tłumacz wspominał go często w listach do Kunstmanna sakramentalnym, polsko-niemieckim: „*niech mu ziemia lekką będzie! Armer Teufel!*” [Biedaczysko – MZ].

Wracając zaś do wizyty w Vence, to Litka de Barcza komentowała przesłany sobie przez Richtera opis wizyty u Gombrowicza następująco: „Dudeczku drogi, na głos, sama w pokoju, uśmiełam się z Twego listu. Twoja wizyta u Gombrowicza! Czytając – byłam tam i dalej śmiałam i śmiałam się. Tak, on siebie celebrytuje jak Mszę; wszystko dookoła, to ministranci. On jest chorobliwy snob, więc ja przez moje 2 małżeństwa, a szczególnie przez Ilgie (on wielu Węgrów z arystokracji poznał w B. Aires), mam dla niego jakieś nadrzędne znaczenie. Głównie też o tym była mowa w Antibes, czyli tzw. Gotha-Pokier: kto z kim i kiedy i jak? w wyższych sferach. Rita jest miła i do rzeczy dziewczyna. Pewno, że jak jego forszę przepuści, to rzuci się gdzie indziej. Ale, muszę powiedzieć, że doszłusowała do niego, jak jeszcze żadnej forsy nie było. Tyle, że doczekała się jej po latach, co b. się jej chwali, bo zniuchała, że na dobrego konia postawiła, co np. krytykom literackim b. rzadko się zdarza.[...]”<sup>35</sup>.

Zaciekawiają w odpowiedzi Litki adresatywna forma jej listu do Richtera oraz wzmiankowanie „nadrzędnego znaczenia” swojej osoby dla pisarza. Bardzo poufały, by nie rzec: pieszczotliwy, ton, w jakim zwraca się do tłumacza, przestaje intrygować w świetle jej pozostałej korespondencji z nim (nazywanym także Rudeczkiem: to stąd wziął się Dudeczek, bywa, że i „najdroższy”) oraz niedyskrecji samego Richtera w listach do Kunstmanna. W cytowanym już tu liście do niego z 26 lutego 1970 r. tłumacz wspomina nie tylko o „durzeniu” się Litki w nim, ale i np. o erotycznej atmosferze pewnej wspólnej podróży pociągiem do Zurychu w jednym przedziale sypialnym z nastoletnią wtedy Litką (do którego to przeżycia wracali jeszcze we wspomnieniach

<sup>32</sup> „Kultura” 1969, nr 7/262–8/263.

<sup>33</sup> List z 13 lipca 1969.

<sup>34</sup> Por. np. A. Kowalczyk, *Rodzina jako źródło cierpień w twórczości Witolda Gombrowicza*, Kraków 2006.

<sup>35</sup> List do Richtera z 5 listopada 1967.

po kilkudziesięciu latach). Podsumowuje ten wątek listu westchnieniem: „I w rzeczy samej, gdyby nie II wojna światowa, która zmieniła WSZYSTKO, to jestem w zupełności przekonany, że pobralibyśmy się wtedy...” Ten nieznaný dotąd charakter relacji łączących Richtera z de Barczą stanowi dodatkowe tło polecenia go przez nią pisarzowi na tłumacza.

Ale także za „nadrzędnym znaczeniem” Litki dla Gombrowicza kryć się mogły emocje – tym razem pisarza – a nie tylko jej arystokratyczne kontakty, czy wręcz świadczona mu przez nią pomoc. Nie bez przyczyny ich wzajemną wymianę listów Rita Gombrowicz nazwała po śmierci męża „najbardziej emocjonującą” ze wszystkich jego korespondencji<sup>36</sup>. Pisarz, wspominając w Argentynie lata przedwojenne, zwracał się do Litki: „[...] szkoda zaiste, że nie ma Cię tutaj; w ogóle dziwnie się złożyło, że nigdy nie zbliżyliśmy się do siebie, ale mniemam, że gardziłabyś tym Gombrowiczem od Mauersbergerów, który jeszcze nie wykazał się i mnie Twoja piękność mocno onieśmiała”<sup>37</sup> i dodawał niedługo potem: „Ach, nie wiem, co by było, gdybym w przeszłości był inny czy też postąpił inaczej, chyba ażeby nie było, bo ja wówczas trawiony byłem okropnymi jadami i nie umiałem się zachowywać, t.j. nie umiałem postępować.”<sup>38</sup> Jak widać, są to listy w rzeczy samej bardzo emocjonalne, intymne szczerością, jakiej na próżno szukać nawet w korespondencji Gombrowicza z członkami rodziny, o której pisał zresztą do niej w liście z 24 lutego 1953, że „trudno wyobrazić sobie coś głępszego i bardziej beznadziejnego”<sup>39</sup>.

Czy jego intymność z tych listów, wręcz sekretność, była li tylko „grą w amitié amoureuse”<sup>40</sup>, jak przypuszcza Nina Taylor-Terlecka? Przytoczone tu wyznania zdają się temu przeczyć. Pisarz w swoich kontaktach z Litką liczył chyba także na odnalezienie uczuciowej nuty, jaka go łączyła z nią przed wojną, nawet jeżeli ona sama mogła nie zdawać sobie wtedy z tego sprawy. Świadczyła by o tym jego pełna gorzkiej rezygnacji reakcja po nieudanym spotkaniu z Litką w Vence w 1966 r. wobec Rudolfa Richtera, w którym szukał po tym niepowodzeniu powiernika: „z Litką rzeczywiście dość nędznie wypadło. Mnie tego dnia astma dusiła, poza tym jakoś oboje nie zdobyliśmy się na przewyciężenie dystansu po tylu latach – trudno, panie święty, gdybym ją jeszcze ze dwa razy mógł widzieć, inaczej by to się ułożyło. Ale wyjechała. Trzeba pewnej energii, żeby nawiązać po tak długim czasie”<sup>41</sup>.

Rzecz charakterystyczna, że spisując na przełomie lat 50./60. swoje *Wspomnienia polskie*, gdzie wspomina swoje znajomości z kobietami („nie umiałem sobie dać z nimi rady [...], byłem z nimi taki właśnie, jakim nie trzeba być”<sup>42</sup>), wspomina

<sup>36</sup> Tak w 1970 r. wobec Günthera Neskego; cyt. wg. listu Richtera (któremu Neske powtórzył tę opinię) do Kunstmannna z 2 października 1970.

<sup>37</sup> List z 29 października 1955. Rodzeństwo Zofia i Adam Mauersbergerowie prowadziło w przedwojennej Warszawie salon literacki, w którego spotkaniach uczestniczyli m. in. Litka Liphardt i Gombrowicz

<sup>38</sup> List z 5 grudnia 1955.

<sup>39</sup> Cyt. za N. Taylor-Terlecka, *Gombrowicz i Alicja de Barcza*, s. 779.

<sup>40</sup> Tamże, s. 778.

<sup>41</sup> List z 8 sierpnia 1966.

<sup>42</sup> W. Gombrowicz, *Wspomnienia polskie. Wędrowki po Argentynie*, Paryż 1977, s. 139.

szczegółowo towarzyskie kółka i salony, w których obracał się razem z Litką – ale jej akurat nie wymienia ani słowem, jakby chciał chronić przed światem ten szczególnie rodzaj relacji, jaki go z nią łączył. Ma to swoje znaczenie, jeżeli pamiętać, że pisarz zawsze bardzo świadomie kreował swój publiczny wizerunek i ściśle dozował wszelkie informacje na swój temat.

Wszelako to tylko jedna strona medalu. Była i druga, której istnienia pisarz nawet się nie domyślał. Litka darząc go przyjaźnią, uznając jego literacki geniusz (dla którego służbę uważała chyba nawet za swój patriotyczny obowiązek) uczuciem, do którego jak się wydaje aspirował, darzyła przeciw Rudolfa Richtera, swojego „drogiego Dudeczka”, jak go nazywała we wzajemnej korespondencji od jego imienia. Ale to już temat na odrębny tekst.

Do „przyjaciół i sojuszników” Gombrowicza tzw. pierwszej godziny zaliczał się niewątpliwie bardzo mu oddany wydawca Günther Neske, którego sylwetkę przybliżyć czytelnikowi w kolejnych rozdziałach. Litka de Barcza i Richter spośród nich przygotowywali, by tak rzec, techniczną stronę (przekład) wejścia Gombrowicza na niemiecki rynek literacki (Litka przez to, że znalazła dla pisarza „idealnego”, jak sam o nim mówił, tłumacza), Jeleński i Bondy zabezpieczali je medialnie, natomiast Neske finansowo i organizacyjnie.

Krytykami wspierającymi przedsięwzięcie Neskego (poza wymienionymi tu Bondym i Jeleńskim) byli albo autorzy jego wydawnictwa i przyjaciele jak Walter Jens, Karl Korn czy Hans Mayer (aby wymienić tylko te prominentne nazwiska), albo zmobilizowani przez nich recenzenci „zewnątrzni” jak Marcel Reich-Ranicki, Rudolf Hartung, Peter Hamm, Peter Kliemann, Urs Jenny i inni. Neske zawsze bardzo dbał o medialną oprawę wydawanych przez siebie książek. W przypadku Gombrowicza zaangażował się zupełnie wyjątkowo. Dość zaznaczyć, że tylko w przypadku *Ferdydurke* wydawnictwo rozesłało ponad 300 egzemplarzy promocyjnych i recenzyjnych. Medialne echo, w prasie i w radiu, było niezwykle – i utrzymywało się z nie słabnącą intensywnością aż do pełnego wydania *Dziennika* w 1970 r. Każda nowa książka pisarza powodowała na literackiej giełdzie wielkie ożywienie, choć... ku nieukontentowaniu autora nie przekładało się ono na wyniki sprzedaży. Z dzisiejszej perspektywy uderza w polifonicznym spektrum krytyki wspomniane już tu wcześniej, wyrażane zewsząd z powagą zdziwienie, że literatura polska „w niczym nie ustępuje literaturom zachodnim”, że twórczość Gombrowicza „jest przykładem na to, iż literatura polska, przynajmniej w dziełach swoich najbardziej utalentowanych przedstawicieli, jest równoprawnym głosem w debacie artystycznej Europy”<sup>43</sup>. Tego rodzaju protekcjonalno-życzliwe reakcje ustały z czasem, ale na początku lat sześćdziesiątych były na porządku dziennym.

Trudno byłoby mówić o jakiejś dominującej tonacji krytycznej w tej fazie recepcji, sądy są zbyt rozstrzelone, zdania zbyt podzielone. Entuzjazm z odkrycia tego polskiego autora był jednak generalnie powszechny. Ale i bezradność wobec literackiego

<sup>43</sup> H. Kricheldorf, *Witold Gombrowicz, Ferdydurke*, „Neue Deutsche Hefte”, Juli/August 1961, z. 82, s. 162; G. Busch: *Das Tagebuch des Witold Gombrowicz*, „Wort in der Zeit”, März 1962, s. 61.

zjawiska, jakim była jego twórczość, dawała o sobie znać: „Gombrowicz nie jest dla czytelników łaskawy. Jego powieść [*Ferdydurke*] to zhora, irytuje i jest męczącą lekturą”<sup>44</sup>. Bezradność i dezorientacja, jakie towarzyszyły wystawieniom dramatów pisarza, były u widzów jeszcze większe aniżeli u czytelników jego prozy<sup>45</sup>. Ostrożny dystans („Ponieważ wygląda na to, że przyjdzie nam się zmierzyć z literacką ‚sensacją‘, to trzeba uzbroić się w krytycyzm”<sup>46</sup>) potrafił przerodzić się łatwo w odrzucenie: Gombrowicz „nie antycypuje żadnego Sartre’a, lecz co najwyżej naśladuje niezdarne Joyce’a [...], grzebie się w duchowym narcyzmie i cielesnym antynarcyzmie”<sup>47</sup>. Pewien zdesperowany księgarz z Brunszwiku protestował nawet wprost u wydawcy: „Doszedłem do przekonania, że w przypadku Gombrowicza rozchodzić się musi o na wpoły szalonego autora, drapującego się w piórka literata, który cierpiąc na niestrawność po przejeździe, wypłuuwa swoje duchowe, wschodnie kompleksy”<sup>48</sup>. Cóż, jeżeli abstrahować od zdecydowanego sądu (przesądu?) Gerdy Hagenau, że „Niemcy mają mało zrozumienia dla tego rodzaju ekstrawaganckiej kreatywności”<sup>49</sup>, jaka manifestuje się w twórczości Gombrowicza, to powtórzyć trzeba za Bondym, który już wcześniej stwierdził: „Gombrowicz nie jest pisarzem dla każdego”<sup>50</sup>.

Szeroki rozrzut sądów jest charakterystyczny dla krytyki gombrowiczowskiej w Niemczech aż do końca pierwszej fazy recepcji. Kontrowersje, jakie rozpalały się wokół niektórych utworów publikowanych sukcesywnie przez Neskego, jak np. *Dziennika berlińskiego* (*Berliner Notizen*, 1965), szybko osiągają temperaturę wrzenia, w której – jak w tym konkretnym przypadku – „początkowe rozgoryczenie krytycznym zdumieniem Gombrowicza [wobec Berlina – MZ] ustępuje miejsca nieśmiałości zrozumieniu”<sup>51</sup> dopiero powoli. Poetyka tytułów zajmujących się pisarzem tekstów (jak np. cytowanego tu Jürgena Lütgego *Klecks w berlińskiej Księdze Gości* czy Karla Korna *Patagończyk w Berlinie*<sup>52</sup>, któremu tekst niniejszy zawdzięcza swój tytuł) zasługiwałyby na osobną rozprawę.

Pierwsze dziesięciolecie osławiania Gombrowicza z czytelnikami w krajach niemieckojęzycznych odbywało się głównie na łamach prasy. Ale i redakcje kulturalne rozgłośni radiowych miały w tym swój niebagatelny udział. Radio było wówczas (co trudno jest dzisiaj sobie wyobrazić) potężnym czynnikiem kształtowania opinii publicznej, także w odniesieniu do zagadnień kulturalno-literackich, aby przypomnieć tu tylko ówczesną rolę słuchowiska. Wiele z poświęconych pisarzowi

<sup>44</sup> NN, *Spaet entdeckt. Witold Gombrowicz's Ferdydurke*, „Freiheit”, März 1961.

<sup>45</sup> Por. D. Pietrek, „*Szlachcica polskiego pojedynki cieniów*”. *Recepcja dramatów Witolda Gombrowicza w niemieckim obszarze językowym*, Wrocław 2006, s. 82–105 i 206–225.

<sup>46</sup> W. H. Fritz, *Von Büchern und Schriftstellern*, [w:] rozgłoszenia RIAS, 08.10.1960.

<sup>47</sup> M. Vogel, *Kein polnischer Sartre*, „Rheinische Post”, 29.09.1960.

<sup>48</sup> Cyt. za przedrukiem w „Der Spiegel”: *Pups-Pädagogie*, 04.01.1961.

<sup>49</sup> G. Hagenau, *Polens zeitgenössische Epik*, „Österreichische Ost-Hefte” 1961, z. 6, s. 438.

<sup>50</sup> F. Bondy, *Großer Name: Gombrowicz. Das Werk des polnischen Dichters kam spät im Westen an*, „Welt am Sonntag”, 25.02.1962.

<sup>51</sup> J. Lütge, *Klecks im Berliner Gästebuch*, „Münchener Merkur”, 29./30.01.1966.

<sup>52</sup> K. Korn, *Ein Patagonier in Berlin. Witold Gombrowicz' Bericht über ein merkwürdiges Jahr als Gast in Deutschland*, „Frankfurter Allgemeine Zeitung”, 4.12.1965.



felietonów i omówień wyemitowane zostało najpierw na falach radiowych. Wśród ich autorów zdarzali się obdarzeni smykałką do interesów twórcy, którzy jednym i tym samym tekstem (czasem tylko lekko zmodyfikowanym) potrafili obsłużyć kilka stacji radiowych, zanim powierzyli go redakcjom gazet czy czasopism.

W debacie akademickiej pojawił się Gombrowicz dopiero w pierwszej połowie lat siedemdziesiątych, jeżeli nie brać tu pod uwagę eseistycznie zakrojonej rozprawy Hansa Mayera *Witolda Gombrowicza poglądy* z 1962 roku<sup>53</sup>. Zakończenie wtedy przez Neskego wydaniem *Dziennika (Tagebücher, 1970)* edycji dzieł pisarza otworzyło drugą fazę jego niemieckiej recepcji, trwającą do rozpoczęcia edycji hanserowskiej w 1983 r. Debatę akademicką otworzył w 1973 r. Heinrich Kunstmann rozprawą *O „Iwone, księżniczce Burgunda” Witolda Gombrowicza, sztuce, nad której przekładem właśnie pracował*<sup>54</sup>. Zaraz w następnym roku Krystyna Schmidt opublikowała swoją monastyrską dysertację poświęconą stylistyce *Trans-Atlantyku*<sup>55</sup>, kanonizując tym niejako twórczość pisarza jako przedmiot akademickich badań literaturoznawczych w Niemczech. Musiało jednak minąć jeszcze około dwóch dekad zanim niemieckojęzyczne literaturoznawstwo slawistyczne i komparatystyczne mogło się wykazać pierwszymi wybitnymi osiągnięciami w zakresie filologii gombrowiczowskiej.

Lata siedemdziesiąte stały (po ostatnim ożywieniu zajmującej się pisarzem krytyki literackiej na początku dekady, wywołanym publikacją *Dziennika*) pod znakiem teatru Gombrowicza. Po fiasku niemieckiej premiery *Iwony* Waltera Czaschkego w 1964 r. w Dortmundzie przełomu w teatralnej recepcji pisarza dokonał w 1968 r. Ernst Schröder, inscenizując w berlińskim Schiller-Theater *Ślub*. Z biegiem czasu jednak to *Iwona* stać się miała ulubioną sztuką Gombrowicza w teatrach niemieckiego obszaru językowego i jedną z najczęściej tam grywanych sztuk obcojęzycznych w ogóle. Jednak sukces ten, inaczej aniżeli we Francji, nie przełożył się po 1968 r. na obecność Gombrowicza w dyskursie teoretycznym (lewicowych) intelektualistów niemieckich. „Jego drwiny z ideologicznych konfrontacji [...] nie miały szans przyjąć się w konwulsyjnych, lewicowo-prawicowych awanturach lat siedemdziesiątych”<sup>56</sup>. Przedwczesna śmierć położyła się dodatkowym cieniem na recepcji jego twórczości. Już kilka miesięcy po śmierci pisarza Rudolf Richter pisał do Heinricha Kunstmanna: „Ach, jak szybko pisarze popadają w zapomnienie... i jak dobrze pokazuje to przykład Gombrowicza!”<sup>57</sup>.

<sup>53</sup> H. Mayer, *Ansichten des Witold Gombrowicz*, w tegoż: *Ansichten zur Literatur der Zeit*, Reinbek 1962, s. 180–192. Polskie tłumaczenie D. Cygan ukazało się [w:] „*Patagończyk w Berlinie*”. *Witold Gombrowicz w oczach krytyki niemieckiej*. Wybór i opracowanie M. Zybura przy współpracy I. Surynt, Kraków 2004, s. 25–43.

<sup>54</sup> H. Kunstmann, *Über Witold Gombrowicz's „Iwona, księżniczka Burgunda”*, „*Die Welt der Slaven*” 1973, z. 1, s. 236–246. Polskie tłumaczenie M. Graszewicza ukazało się [w:] „*Patagończyk w Berlinie*”, s. 117–129.

<sup>55</sup> K. Schmidt, *Der Stil von Witold Gombrowicz' Trans-Atlantik und sein Verhältnis zur polnischen literarischen Tradition*, Meisenheim am Glan 1974.

<sup>56</sup> R. Fieguth, *Gombrowicz mit deutscher Fresse. Zweiter Versuch*, [w:] *Gombrowicz in Europa*, s. 119 n.

<sup>57</sup> List z 29.11.1969.

W połowie lat siedemdziesiątych zastój w sprzedaży książek Gombrowicza<sup>58</sup> spowodował, że wydawca czuł się zmuszony przyznać, że nie jest z powodów finansowych w stanie kontynuować swojego wcześniejszego zaangażowania w promocję twórczości pisarza. W tej sytuacji inicjatywę w Niemczech postanowiła przejąć Rita Gombrowicz, spadkobierczyni praw po pisarzu, którą reprezentował Erich Lindner z Agencja Letteraria Internationale z Mediolanu. Udało mu się znaleźć nowego wydawcę dla utworów Gombrowicza, wspomniane tu już, zasłużone w Niemczech dla promocji literatury polskiej, monachijskie wydawnictwo Carl Hanser Verlag. Po kilku latach żmudnych negocjacji doszło w styczniu 1982 r. do ostatecznego przekazania przez Neskego praw do publikacji polskiego autora Hanserowi. Otworem stała się teraz droga do uzgodnionej z wdową po pisarzu wydania jego dzieł zebranych.

*Gesammelte Werke* zaczęły ukazywać się już w 1983 r. Kierownictwo projektu „Unternehmen Gombrowicz” (jak zaczęto go wkrótce nazywać) spoczywało w rękach polonisty i tłumacza Rolfa Fiegutha, profesora literatur słowiańskich we Fryburgu szwajcarskim, oraz doświadczonego redaktora z wydawnictwa Hansera, Fritza Arnolda. A chociaż przejście praw od wydawnictwa Neskego obciążało projekt już na wstępie finansowo, zgodzono się szybko co do tego, że projektowaną edycję trzeba oprzeć na nowych przekładach, a te autorstwa Richtera, przejmowane od Neskego, poddać rewizji<sup>59</sup>. Wybrany przez obydwu redaktorów zespół tłumaczy, do którego dołączył i sam Fieguth: Olaf Kühn (współpraca przy tym projekcie stanowiła dla niego efektowny wstęp do jego późniejszej błyskotliwej kariery translatorskiej), Renate Schmidgall, Klaus Staemmler i Christa Vogel, wykonał chwaloną zewsząd pracę, której najwybitniejszymi osiągnięciami w powszechnym odczuciu krytyki były Kühla imponujący przekład *Dziennika* oraz kongenialne wprost zniemczenie *Trans-Atlantyku* przez Fiegutha.

Wydawnictwo Hansera zakończyło swoją 13-tomową edycję dzieł pisarza w 1997 r. Wydanie to, któremu Rolf Fieguth zapewnił poziom niemal wydania historyczno-krytycznego (wszystkie tomy zaopatrzone w dodatki krytyczne zawierające odmiany tekstu, komentarze i posłowania wybitnych znawców twórczości pisarza, z Polski Michała Głowińskiego do *Wspomnień polskich*) jest wybitnym osiągnięciem filologiczno-edytorskim, które za granicą nie ma sobie równych. W krajach niemieckojęzycznych pozostanie na długie lata oczywistą podstawą recepcji twórczości pisarza, tym bardziej że wydawnictwo Fischer Taschenbuchverlag udostępniło je w 1998 r. w wydaniu broszurowanym najpierw w kasecie, a od 2005/06 r. w pojedynczych tomach.

Fritz Arnold, z zawodu redaktor, ale z temperamentu i upodobań również pisarz, dysponował, jak swego czasu Neske, także rozległą siecią kontaktów w świecie mediów i potrafił zapewnić przedsięwzięciu Hansera należyty rezonans. Obok *grand old men* krytyki gombrowiczowskiej jak Bondy, Rudolf Hartung, mieszkający

<sup>58</sup> Jeszcze na początku następnej dekady, czyli po dziesięciu latach sprzedaży *Dziennika*, wydawca miał na składzie po dwa tysiące drugiego i trzeciego tomu.

<sup>59</sup> O pracy nad edycją hanserowską informuje R. Fieguth w cytowanym tu już artykule *Gombrowicz mit deutscher Fresse*, s. 129–130.

wtedy jeszcze w Niemczech Tadeusz Nowakowski czy Volker Klotz, pojawili się nowi krytycy jak Jürgen Manthey, Jochen Halbey, Cornelia Krauß, Walter Klier, a także uprawiający krytykę literacką uniwersyteccy literaturoznawcy jak German Ritz, Felix Philipp Ingold, Ralph Rainer Wuthenow, Klaus Völker czy Hermann Kurzke. Ponieważ tymczasem międzynarodowa ranga pisarstwa Gombrowicza była już bezdyskusyjna (o czym w krajach niemieckiego obszaru językowego świadczyło uwzględnienie go w renomowanym leksykonie *Killys Neues Literaturlexikon*), do przeszłości należały manifestujące się w pionierskich czasach Neskego reakcje bezradności, rezerwy czy wręcz odrzucenia. Edycja hanserowska wyniosła Gombrowicza w Niemczech ostatecznie na ołtarze szacownych klasyków literatury światowej – z czego konsekwencje wyciągnęła też... krytyka literacka. Kontrowersje wywoływało teraz co najwyżej porównywanie nowych przekładów ze starymi Richtera i okazywało się, że Tiel/Richter wciąż miał jeszcze swoich zagorzałych zwolenników! Tu i ówdzie kręcono nosem nad „przekleństwem wydań zbiorowych”, zgłaszając wątpliwości nad celowością uwzględnienia w edycji hanserowskiej *Opętanych* i *Wędrówek po Argentynie*.

Wyjątkowym pociąganiem marketingowym wydawnictwa było wydawane od 1984 r. i redagowane przez Hansa-Jürgena Balmesa kompetentnie, a zarazem dowcipnie i z zaraźliwym entuzjazmem ‚ulotne pismo’ (fliegendes Blatt): „Der Ferdurdurkist. Briefe zur Beförderung des Ferdurdurkismus in Deutschland, Österreich und der Schweiz” (Ferdurdurkista. Listy dla krzewienia ferdydurkizmu w Niemczech, Austrii i w Szwajcarii). Niestety, pełna rozmachu i kosztowna kampania reklamowa wydawnictwa (o jakiej Neske mógł być tylko marzyć) nie zdjęła z ‚nowego’ Gombrowicza klątwy, jaką dotknięta była już edycja Neskego. Przy całym rozmachu, z jakim Hanser zorganizował nowe wydanie, i przy ze wszech miar życzliwej krytyce – Gombrowicz nie ‚szedł’. Nigdzie. Ani u ‚zwykłych’ czytelników (poza *Opętanymi*), ani tym bardziej u aktorów wielkich debat publicznych (znów w odróżnieniu od recepcji francuskiej). Rozgoryczony Rolf Fieguth pisał po latach: „W sumie, sprzedaż i publiczny oddźwięk edycji monachijskiej byłyby przypuszczalnie takie same, gdybyśmy przejęli *tel quel* przekłady Tiela, dokładając jedynie dotychczas nie tłumaczone teksty”<sup>60</sup>. W swoim nie do końca zrozumiałym rozczarowaniu współorganizator tego wydania abstrahuje tutaj od oczywistego faktu, że zrealizowane w głównej mierze dzięki niemu, stanowi ono kamień milowy nie tylko w niemieckojęzycznej recepcji Gombrowicza, ale i w rozwoju niemiecko-polskich stosunków literackich w ogóle, będąc na niwie polityki kulturalnej wydarzeniem o trudnej do przecenienia doniosłości.

*Habent sua fata libelli...* zatrzymajmy się tutaj przy pewnej anegdocie, bowiem rzeczywiście, słowa Terencjusza Maurusa przychodzą na myśl także w kontekście niemieckich losów książek Gombrowicza, a raczej jednej książki: „Jest charakterystyczne dla literackiego klimatu w tym kraju, że najgorsza powieść Gombrowicza, *Opętani*, której jednoznacznie nie chciał on opublikować pod swoim prawdziwym

<sup>60</sup> Tamże, s. 130.

nazwiskiem [...] jako jedyny utwór z całej tej edycji odniosła prawdziwy sukces”<sup>61</sup>. Sarkazm Fiegutha każe mi tu tu wszakże myśleć o Witoldzie Wirpszy, który w latach siedemdziesiątych i osiemdziesiątych mieszkał na emigracji w Berlinie Zachodnim. Mający ciągle kłopoty finansowe pisarz i tłumacz, wpadł w 1976 r. na pomysł, aby niedawno, bo w 1973 r. wydaną po raz pierwszy w formie książkowej powieść Gombrowicza przełożyć na niemiecki, przekonany był bowiem po jej lekturze, że cieszyć się ona będzie dużym wzięciem u czytelników. Po przesłaniu próbki tłumaczenia do wydawnictwa Deutsche Verlags-Anstalt w Stuttgarcie otrzymał stamtąd następującą odpowiedź: „Zastanawialiśmy się przez jakiś czas nad decyzją, ostatecznie jednak nie zdecydowaliśmy się na tę powieść. Tak, oczywiście, to jest ‚dobra, stara’ literatura trywialna rodem z XIX w., sfabrykowana wedle sprawdzonych wzorów. Ale problem jest i pozostaje taki: kto ma tę książkę kupić? Nazwisko Gombrowicza nie jest przecież u nas tak znane, żeby fakt, iż napisał taką książkę miał w sobie wystarczający posmak sensacji. Rodzi się pytanie, czy czytelnicy autentycznej literatury trywialnej sięgnęli by po tę powieść? A ci nieliczni, którym nazwisko Gombrowicza coś mówi?”<sup>62</sup>. Pomysł Wirpszy upadł, co nasuwa teraz dwie refleksje. Po pierwsze, w świetle wypowiedzi Fiegutha stuttgarckie wydawnictwo pozbawiło się swoją odmową najprawdopodobniej szansy na komercyjny zysk, jaki w przypadku przyjęcia propozycji Wirpszy mogłoby czerpać ze sprzedaży *Opętanych* jeszcze dzisiaj. I po drugie, okazuje się, że echo prowadzonej przez Neskego dziesięcioletniej „walki o sławę” Gombrowicza w Niemczech wnet przebrzmiało, skoro jego nazwisko już w połowie lat siedemdziesiątych miało być zdaniem redaktorów liczącego się w Niemczech wydawnictwa, a więc obecnego z rynkiem, znane tylko „nielicznym” czytelnikom. Tak więc, wracając do edycji hanserowskiej, okazuje się, że jej redaktorzy podejmując się tego zadania, odkrywali Gombrowicza dla niemieckiego czytelnika na nowo. Ogrom zainwestowanej w to przedsięwzięcie pracy może poniekąd tłumaczyć rozgoryczenie Rolfa Fiegutha po latach.

Od końca lat osiemdziesiątych XX w. zainteresowanie niemieckiej krytyki Gombrowiczem (abstrahując tu od krytyki teatralnej, dla której nadal pozostał on ulubionym dramaturgiem polskim, co po raz kolejny udowodniła jej reakcja na wystawienie *Iwony* przez Tamása Aschera w wiedeńskim Akademietheater w 1994 r.<sup>63</sup>) wyraźnie słabło. Ze wzmożoną intensywnością natomiast zaczęło się nim zajmować literaturoznawstwo akademickie. Herta Schmid, Alek Pohl, Doris Lemmermeier, Brigitte Schultze, German Ritz, Horst Turk, Hanjo Berressem, Jan Conrad, Gudrun Langer i Norbert Franz budowali zręby niemieckojęzycznej gombrowiczologii. W dyskursie tym uczestniczyli teraz coraz częściej także polscy literaturoznawcy (Jan Kott, Andrzej Wirth i Włodzimierz Maciąg publikowali tu już wcześniej). Z chylącej się już ku upadkowi NRD włączyła się do niego tamtejsza

<sup>61</sup> Tamże.

<sup>62</sup> List z 9.08.1976 przechowywany w spuściźnie Wirpszy w archiwum der Akademie der Künste w Berlinie.

<sup>63</sup> D. Pietrek, „*Szlachcica polskiego pojedynki cieniów*”, s. 149 n.

slawistyka tekstami Dietricha Scholzego. Po latach, jakie upłynęły od publikacji pierwszej w Niemczech, poświęconej Gombrowiczowi dysertacji Krystyny Schmidt, zaczęły się teraz ukazywać, zajmujące się jego twórczością, nowe prace kwalifikacyjne, doktoraty i habilitacje, m.in. Zbigniewa Wilkiewicza, Olafa Kühla, Birgit Harreß, aż po fundamentalne studium Alfreda Galla z początków nowego już tysiąclecia.

O zaangażowaniu niemieckiej gombrowiczologii informowała w Polsce wydana przeze mnie w 2004 r. przy współpracy Izabeli Surynt antologia „*Patagończyk w Berlinie*”. *Witold Gombrowicz w oczach krytyki niemieckiej*. Potem ukazały się przekłady rozpraw Kühla *Gęba Erosa. Tajemnice stylu Witolda Gombrowicza* (Kraków 2005) i Galla *Humanizm performatywny. Polemika z filozofią w praktyce literackiej Witolda Gombrowicza* (Kraków 2011). Wszystkie te trzy książki opublikowane zostały w założonej przeze mnie w 2002 r. w krakowskim wydawnictwie Universitas i ukazującej się do dzisiaj serii „Polonica leguntur”, poświęconej prezentacji recepcji literatury polskiej w niemieckim kręgu językowym.

Po tym, jak od lat dziewięćdziesiątych centrum badań nad Gombrowiczem zaczęło się przesuwać z Polski za granicę, co było widowym znakiem „umiędzynarodowienia” (W. Bolecki) pisarza, podjęcie wnikliwych studiów nad jego twórczością w krajach niemieckojęzycznych było naturalnym owocem trwającej tam już od niemal półwiecza recepcji. German Ritz, jeden z czołowych przedstawicieli tych studiów, stwierdził w 2002 r.: „Jeszcze przez dłuższy czas, to akurat spojrzenie na Gombrowicza z perspektywy obcych tradycji literackich i filozoficznych, zwłaszcza także niemieckich [...], może być produktywnie”<sup>64</sup>. Kolejne lata miały pokazać, że miał rację.

## Bibliografia

- Witold Gombrowicz, *Ferdydurke. Roman*. Aus dem Polnischen übersetzt von Walter Tiel, Pfullingen 1960.
- Das Tagebuch des Witold Gombrowicz*. Aus dem Polnischen übersetzt von Walter Tiel, Pfullingen 1961.
- Witold Gombrowicz, *Verführung*. Aus dem Polnischen übersetzt von Walter Tiel, Pfullingen 1963.
- Witold Gombrowicz, *Die Begebenheiten auf der Brigg Banbury*. Aus dem Polnischen übersetzt von Walter Tiel, Pfullingen 1963.
- Witold Gombrowicz, *Trans-Atlantik*. Aus dem Polnischen übersetzt von Walter Tiel, Pfullingen 1964.
- Witold Gombrowicz, *Berliner Notizen*. Aus dem Polnischen übersetzt von Walter Tiel, Pfullingen 1965.

---

<sup>64</sup> *Kosmos oder Angst vor Paluba? Eine metafiktionale Lektüre von Gombrowicz' letztem Roman*, w: *Die Welt der Slawen* 2002, H. 3, s. 604–614. Cyt. za przedrukiem [w:] „*Ein Patagonier in Berlin*” *Texte der deutschen Gombrowicz-Rezeption*. Ausgewählt und herausgegeben von M. Zybura, Dresden 2018, s. 562.

- Witold Gombrowicz, *Indizien*. Aus dem Polnischen übersetzt von Walter Tiel, Pfullingen 1966.
- Witold Gombrowicz, Dominique de Roux, *Gespräche*. Aus dem Polnischen und Französischen übersetzt von Walter Tiel, Pfullingen 1969.
- Witold Gombrowicz, *Die Tagebücher. In drei Bänden 1953–1969*. Aus dem Polnischen übersetzt von Walter Tiel, Pfullingen 1970.
- Witold Gombrowicz, *Gesammelte Werke*. 13 Bde, München 1983–1997.
- Witold Gombrowicz, *Gesammelte Werke*. 13 Bde, München 1998.
- Basil Kerski, François Bondy (1915–2003), „Zeszyty Historyczne” 2003, nr 145, s. 202–213.
- Andreas Lawaty, Marek Zybura, *Gombrowicz in Europa. Deutsch-polnische Versuche einer kulturellen Verortung*, Wiesbaden 2006.
- Brigitte Neske, Thomas Seng (Hrsg.), *Vierzig Jahre Verlag Günther Neske. Almanach*, Pfullingen 1991.
- Heinrich Olschowsky, *Kosmopolak w Berlinie. Witold Gombrowicz w niemieckich zwierciadlach*, „Dialog. Deutsch-polnisches Magazin” 2019–2020, nr 4, s. 94–97.
- Marek Zybura (Hrsg.), *Ein Patagonier in Berlin. Texte der deutschen Gombrowicz-Rezeption*, Dresden 2018.

#### **Słowa kluczowe**

Witold Gombrowicz, Rudolf Richter, Alicja de Barcza, Günther Neske, Rolf Fieguth, pisarz i jego wydawcy

#### **Abstract**

##### **“A Patagonian in Berlin”. On the history of the German reception of Witold Gombrowicz’s work**

A monograph on the German reception of Witold Gombrowicz’s work remains a research desideratum even today, even though this reception was the very beginning of Gombrowicz’s literary world career. The author identifies the main actors such as translators, editors, literary critics and historians of literature as well as the main milestones of the career. Zybura’s research is generally based on the unpublished correspondence, part of the bequest of the German Slavist Heinrich Kunstmann (1923–2009) compiled at the Willy Brandt Center for German and European Studies at the University of Wrocław.

#### **Keywords**

Witold Gombrowicz, Rudolf Richter, Alicja de Barcza, Günther Neske, Rolf Fieguth, the writer and his publishers